

==> BOGATY DOM <==

To nie bajka. To prawda.

To nie bajka. To jest prawda o pewnym chłopaku.

Zaczynam tak.

Był bogaty dom...

SALON, POKÓJ SPOTKAŃ
TOWARZYSKICH

A więc był bogaty dom. Stał na ulicy Miodowej w Warszawie, niedaleko placu Zamkowego. Miał siedem pokoi – gabinet, salon, jadalnię, bawialnię, sypialnię, pokój dziecięcy i pokój babci. W każdym pokoju stały rzeźbione meble wyściełane pluszem, w oknach wisiały grube, aksamitne zasłony, a na podłodze leżały puszyste dywany.

Oprócz tego w domu była też kuchnia, spiżarnia, łazienka, toaleta i pokoje dla służby. Wszędzie stały małe stoliczki, zgrabne komody, wygodne fotele, kanapy i sofy. Dom był pełen stojących i wiszących zegarów, które wydzwaniały kolejne godziny. I lamp naftowych – bo ponad sto trzydzieści lat temu, kiedy zaczyna się nasza opowieść, nie znano jeszcze elektryczności.

W tym bogatym domu mieszkał adwokat, pan Józef Goldszmit, razem ze swoją żoną Cecylią, córką Anną i teściową, czyli babcią Emilią. W roku 1878 albo 1879, kiedy Anna miała trzy lub może cztery lata, urodził się jej brat. Nazwano go Henrykiem po dziadku lekarzu.

Henio był bardzo miłym chłopcem. Cichym, spokojnym, łagodnym. Często się zamyślał. Kiedy miał już tyle lat, że mógł bawić się sam w pokoju dzieciennym, najchętniej wyciągał klocki, z których budował całymi godzinami.

– Nie nudzą ci się te klocki? – pytała go bona panna Marysia.

– Nie – odpowiadał krótko Henio i bawił się dalej.

NIAANIA, OPIEKUNKA
DŁ DZIECI

(z Tac. adwokat - użył na pomoc) PRAWNIK, KTÓRY
WYSTĘPUJE W IMIENIU KLIENTA PRZED SĄDAMI I URZĘDAMI

- On się niczym innym nie interesuje! – martwiła się pani Cecylia.
- Babciu, ja cały świat układam z moich klocków – zwierzał się czasem chłopiec pani Emilii.
- Filozof z ciebie – śmiała się babcia i porozumiewawczo puszczała do Henia oko.

Bona, panna Marysia, dbała o to, żeby Ania i Henryk mieli czyste ubrania, ręce i uszy. Pilnowała też, żeby zjadali dokładnie wszystko z talerzy, nie wybrzydiali i łykali regularnie tran. Obrzydliwy był w smaku, więc dzieci robiły, co mogły, żeby uniknąć codziennej porcji tej „ważnej mikstury”. Niestety, pod czujnym okiem panny Marii było to zupełnie niemożliwe.

– Dopóki ja tu jestem, będę dbać o wasze zdrowie, czy tego chcecie, czy nie – mówiła i stanowczym ruchem podawała dzieciom łyżkę wypełnioną po brzegi gęstym, żółtym płynem.

– Błę, cuchnie zdechłymi rybami – wstrząsała się Ania.

A Henio nic nie mówił, tylko zastanawiał się, czy panna Marysia też codziennie musi zażywać tę miksturę? I, właściwie, dlaczego dzieci muszą być zdrowe, a dorośli nie?

Kiedy była ładna pogoda, bona wybierała się z dziećmi na spacer do Ogrodu Saskiego. Szli uliczkami, po których jeździły tramwaje konne.

– Nie biegaj! To nie wypada panience – strofowała Anię panna Marysia. – Nie podskakuj! – upominała Henia. – Zachowuj się porządnie. Dzieciom podobał się Ogród Saski. Był w nim staw, po którym pływały bielutkie łabędzie, była pijalnia wód mineralnych z fontanną, a wzdłuż alejek rosły wielkie drzewa i stały greckie posągi. Panna Marysia miała tam swoją ulubioną ławeczkę, na której zawsze siadała. Sadzała obok siebie Anię z jednej, a Henia z drugiej strony i kazała się im grzecznie

zachowywać. Przed bramą do ogrodu stał dozorca, który pilnował, żeby do środka nie wchodził nikt, kto ma biedne ubranie. Henio siedział cichutko na ławeczce obok swojej bony, machał nogami i patrzył tęsknym wzrokiem na dzieci, które biegały za bramą Ogrodu.

– Nie gap się na nie – strofowała chłopca panna Maria. – Nie możesz się z nimi bawić.

– Ale ja bym tak chciał... – prosił Henio.

– Ten chłopiec nie ma ambicji! – martwiła się pani Cecylia, gdy bona opowiadała jej o marzeniach synka. – Jemu wszystko jedno, co je, jak się ubiera, czy bawi się z dziećmi ze swojej sfery, czy z biedotą. Nie wstydzi się nawet bawić z małymi!

– Toż to gapa i mazgaj nam rośnie! – denerwował się pan Józef.

– Ależ nieprawda! – broniła chłopca babcia. – On jest mądry i wrażliwy. To dobre dziecko.

– Za dobre – burczał pan Józef. – Nic z tego chłopaka nie będzie – oznajmiał złowrogo i zamykał się w swoim gabinecie.

————— » COŚ POŻYTECZNEGO <—————

Od kilku dni padało. Rzęsisty deszcz zalał ulice, zmoczył drzewa, trawniki, rozmiękczył ziemię.

– Czego ty tam tak wypatrujesz przez to okno, Henryku? Zająłbyś się czymś pożytecznym. – Bona od rana miała zły humor.

– Chciałbym pójść na spacer, do Ogrodu Saskiego. Zobaczyć, jak tam teraz jest.

– Chcieć to ty możesz jeść. Dzieci i ryby głosu nie mają. Nie widzisz, że pada?

- Widzę, ale nudno tak siedzieć w domu...

- Toteż mówię, żebyś zajął się czymś pożytecznym.

Henio pomyślał, że zupełnie nie rozumie, dlaczego panna Maria się gniewa. Przecież on zajmuje się właśnie czymś bardzo pożytecznym. Patrzy przez okno i zastanawia się nad tym, co dzieje się po jego drugiej stronie. Na przykład: taki deszcz. Dlaczego pada? Skąd leci? Jak to się dzieje, że w niebie jest tyle wody? I gdzie podziało się słońce? Ale nie chciał denerwować bony jeszcze bardziej, nic więc jej nie powiedział.



... ..



PLAN PRZEBUDOWY ŚWIATA

Któregoś dnia Henio zwierzył się pani Emilii.

– Babciu, ja wymyśliłem plan przebudowy świata.

– Tak? A cóż to za plan?

– Bo wszystkiemu winne pieniądze. Trzeba je wyrzucić. Wtedy nie będzie dzieci brudnych, obdartych i głodnych, z którymi nie wolno się bawić.

– Hm... Ciekawy pomysł... – uśmiechnęła się pani Emilia. – A co potem z tymi wyrzuconymi pieniędzmi?

– Nie będzie ich. I wszyscy będą wreszcie tacy sami. Dorośli i dzieci. Bogaci i biedni. Polacy i Żydzi.

– A cóż ci przyszło do głowy? Przecież jesteśmy tacy sami!

– Nieprawda! Tata ciągle powtarza, że dzieci i ryby głosu nie mają. Dorośli mogą mówić, ile tylko chcą i co chcą. A dzieci są jak ryby. Mają cicho siedzieć.

– To tylko takie powiedzenie, Heniu.

Chłopiec się zamyślił.

"DZIECI!
DUPNE MIĘCIE
ZAMIARY, GÓRNE
MIĘCIE MARZENIA
IDĄCIE DO SŁAWY. COŚ
Z TEGO ZAWSZE SIĘ
STANIE" - Y. K.

- To dlaczego jest tak, że ja mogę wchodzić do Ogrodu Saskiego a inne dzieci nie? I dlaczego nie wolno mi się z nimi bawić?
- Trudne zadajesz pytania, Heniu... Tak już jest na tym świecie i c
- ba nie nam to zmieniać.
- Dlaczego nie nam? A jak my tego nie zmienimy, to kto?
- Heniu, dobrze, że jesteś wrażliwy na biedę i niedolę innych, ale naprawdę nie mamy na to wpływu.
- A nie uważasz, babciu, że najlepiej jednak byłoby wyrzucić pieniądze
- A ty znowu swoje. Mój ty filozofie! – zaśmiała się babcia i przytuliła Henryka.

Korczak próbował pisać. Siedział skupiony w swoim pokoiku i pochylał się nad zeszytem. Chodziła mu po głowie powieść dla dzieci o małym chłopcu, który został królem. Zastanawiał się właśnie nad pierwszym zdaniem, gdy ktoś otworzył drzwi i wpadł rozgorączkowany do środka. Doktor podniósł głowę. To Lejbuś.

– Co się stało? – zapytał wychowawca.

– Pandoktorze, Blumka mnie popchnęła i ja zrobiłem kleks w zeszycie! – zawiadomił chłopiec. I wyszedł, trzaskając drzwiami.

Korczak pokiwał głową i znowu pochylił się nad zeszytem. Właśnie pisał drugie zdanie, gdy drzwi ponownie się otworzyły. Weszła Krysia.

– Panie doktorze, czy ja mogę wziąć sobie do zabawy domino? – zapytała grzecznie.

Wychowawca skinął głową i wrócił do pisania. Ale drzwi ponownie się otworzyły. Pojawił się w nich zapłakany Jakubek.

– Zginęła mi chustka do nosa! – łkał rozpaczliwie.

– Poszukaj w szafce ze znalezionymi rzeczami. Może ktoś ją tam odłożył – poradził Korczak i pochylił się nad zdaniem, które przed chwilą napisał. Ale nie zdążył go do końca przeczytać, gdy drzwi się kolejny raz otworzyły i do pokoju triumfalnie wkroczył Józek.

– Znalazłem chustkę! – zawiadomił z dumą. – Leżała na parapecie. W tym momencie cierpliwość doktora się skończyła i na głowę Józka posypały się epitety:

– Ty próbo ogniowa mojej cierpliwości! – wołał Korczak. – Ty kamieniu węgielny mojej wytrzymałości! Ty chroniczny nekrologu mojego

złotego spokoju i wolności! – krzyczał, a Józek patrzył wielkimi ze zdziwienia oczami, z otwartą buzią.

– Koniec powieści. I tak nic nie napiszę – powiedział wreszcie Korczak i wyszedł z pokoju.

To jednak nie był koniec awantur tego dnia. Chaimek zostawił odkręcony kran i zalał całą podłogę w łazience.

– Uh, ty arcycymbale, ty ekstragamoniu! – nakrzyczał na niego Korczak. – Gniewam się na ciebie aż do kolacji – powiedział i rzeczywiście, przestał się do Chaimka odzywać.

– Panie doktorze, czy mogę wziąć piłkę? – zapytał nieśmiało chłopiec po obiedzie.

Doktor udawał, że nie słyszy.

Chaimek spuścił głowę i poszedł sobie, ale za chwilę powrócił z kolegą.

– Panie doktorze, czy Chaimek może wziąć piłkę? – zapytał w jego imieniu Aron.

– Powiedz mu, że może wziąć mniejszą piłkę, ale żeby jej nie kopał – odpowiedział wychowawca.

– Dobrze – uśmiechnął się nieśmiało Chaimek.

– Co powiedział? – zapytał Korczak Arona.

– On powiedział, że dobrze – wytłumaczył Aron.

– No to dobrze – doktor uśmiechnął się do Arona, a na Chaimka nawet nie spojrział.

"ELEKROĆ
ODŁOŻYWSZY
KSIĄŻKĘ, SNUJĘ
ZACZNIĘSIĘ NIE
WŁASNYCH MYŚLI,
TYLEKROĆ KSIĄŻKA CEL
ZAMIERZONY OSIĄGA"
Z.K.

»————» < GODNOŚĆ I DWIEŚCIE DZIECI > «————«

Przez uliczne megafony nadawane było ogłoszenie: – Wszyscy Żydzi od lat dwunastu mają obowiązek nosić na prawym ramieniu białe opaski z niebieską gwiazdą Dawida.

Pani Stefa uszyła opaski dla siebie, doktora, starszych wychowanków i żydowskich pracowników Domu Sierot.

- Nigdy tego nie założę – powiedział stanowczo Korczak, który cały czas chodził w mundurze polskiego oficera.
- Doktorze, to jest absolutnie nierozsądne! – Stefania łapała się za głowę.
- Nie będę tego nosił i koniec! – uciął Korczak.

Ku przerażeniu pani Wilczyńskiej okazało się, że doktor nie tylko tak

się odgrażał. Chodził ulicami Warszawy w polskim mundurze, bez opaski, nie przestrzegając godziny policyjnej.

– Co mnie obchodzą te wszystkie zakazy i nakazy, jeśli dzieci nie mają jedzenia! – krzyczał. – Będę chodził, gdzie chcę i kiedy chcę! – I z wielkim workiem na ramieniu wyruszał na codzienne pielgrzymki do bogatych domów żydowskich i polskich, by prosić o pieniądze i żywność dla swoich wychowanków.

– Czy ktoś z państwa ma do odstąpienia dwadzieścia metrów kartofli dla moich dzieci? – pytał.

– Pan nie ma godności! – oburzali się nieraz w odpowiedzi.

– Godności? – uśmiechał się Korczak. – Rzeczywiście, nie mam godności. Ale mam dwieście dzieci – odpowiadał.

Gdy wracał po godzinie policyjnej do Domu Sierot z workiem wypełnionym żywnością na plecach i natykał się na patrole policyjne, udawał pijanego i zataczał się, śpiewając głośno.

– Wariat – śmiali się policjanci.

ZEGAREK

W grudniu 1915 roku Korczak dostał trzy dni urlopu z okazji świąt. Niestety, nie mógł wrócić do okupowanej Warszawy, pojechał więc do Kijowa. Postanowił odwiedzić tamtejsze domy sierot i zobaczyć, jak działają. Trafiał do schroniska dla polskich chłopców, prowadzonego przez panią Marynę Falską.

- Witam pana doktora. - Kierowniczka serdecznie przywitała Korczaka. - To dla nas prawdziwy zaszczyt.
- Jak pani sobie radzi z tymi chłopcami?
- Z bólem muszę przyznać, że jest ciężko. Bardzo ciężko. Mam pod opieką sześćdziesięciu wyrostków. Nie chcą nikogo słuchać, robią, co chcą, z najwyższym trudem i tylko przy użyciu całego systemu kar udaje mi się osiągnąć jako taką dyscyplinę.
- Hm... A gdyby tak przestać stosować kary i zacząć nagradzać? - zapytał Korczak.
- Chyba pan żartuje! Nagradzać ich? Za co?
- Wierzę, że odpowiednia motywacja działa cuda.

"DZIECKO
MA PRAWO DO
POWAGNEGO TRAKTO-
WANIA JEJEGO SPRAW, DO
SPRAWIEDLIWIEGO ICH
ROZWIĄZANIA".
J. K.



– To niech pan mi pokaże te cuda. W kozie siedzi właśnie chłopak, który ukradł dozorczy zegarek. Czy i jego by pan nagrodził?

– Jeszcze nie wiem, ale chętnie z nim porozmawiam.

Po kolacji pani Maryna zebrała wszystkich chłopców.

– To doktor Janusz Korczak – przedstawiła gościa.

– Przyjechałem was odwiedzić – powiedział pan Janusz i spojrzał rozbijającymi swoimi szafirowymi oczami.

– Tak, doktor Korczak jest znanym wychowawcą – kontynuowała pani Maryna. – Jego metody są cenione w świecie. Mam nadzieję, że przez czas pobytu u nas zajmie się wami.

– Uuuuuuu – rozległ się pomruk niezadowolenia. – A nas kto pytał?

- Słyszałem, że jeden z was siedzi w kozie – przemówił nagle Korczak.
- Żeby to jeden! Ciągłe ktoś ma jakąś karę – rozległy się głosy.
- Przyprowadźcie tu waszego kolegę – poprosił doktor.

Po chwili do sali wszedł nieduży chłopak. Miał ciemne włosy i prawie czarne oczy. Rozglądał się trwożliwie i niepewnie.

- Witaj, jestem Janusz Korczak. – Doktor podał rękę zdziwionemu chłopcu.
- Szanowanie panu – odpowiedział Staszek tak cicho, że ledwie go było słychać.

Koledzy zaśmiali się hałaśliwie.

- Podobno ukradłeś dozorczy zegarek. Czy to prawda? – zapytał Korczak.

- Nieprawda – wyszeptał Staszek.

Na sali rozległy się pomruki, tupania i gwizdy.

- On kłamie! – krzyknął któryś z chłopców. – Niech pan mu nie wierzy!
- Powoli, spokojnie. – Doktor uciszył towarzystwo. – Chciałbym dowiedzieć się wszystkiego po kolei. A więc pan dozorca zgłosił, że zginął mu zegarek, tak?
- Tak. – Pani Maryna kiwnęła głową. – Trzy dni temu.
- Czy jest pani pewna, że dozorca nie zapodział gdzieś zegarka lub nie zapomniał, gdzie go odłożył?
- Wierzę panu Mikołajowi. Powiedział, że przeszukał wszystko, a zegarka ani śladu.
- Rozumiem. A na jakiej podstawie uznaliście, że to Staszek ukradł zegarek pana Mikołaja?
- Bo Zenek widział, jak Staszek wychodził z pokoju dozorczy. Zachowywał się przy tym dziwnie, jakby się bał, że go ktoś zobaczy.

- Słyszałem, że jeden z was siedzi w kozie – przemówił nagle Korczak.
- Żeby to jeden! Ciągłe ktoś ma jakąś karę – rozległy się głosy.
- Przyprowadźcie tu waszego kolegę – poprosił doktor.

Po chwili do sali wszedł nieduży chłopak. Miał ciemne włosy i prawie czarne oczy. Rozglądał się trwożliwie i niepewnie.

- Witaj, jestem Janusz Korczak. – Doktor podał rękę zdziwionemu chłopcu.
- Szanowanie panu – odpowiedział Staszek tak cicho, że ledwie go było słychać.

Koledzy zaśmiali się hałaśliwie.

- Podobno ukradłeś dozorczy zegarek. Czy to prawda? – zapytał Korczak.

- Nieprawda – wyszeptał Staszek.

Na sali rozległy się pomruki, tupania i gwizdy.

- On kłamie! – krzyknął któryś z chłopców. – Niech pan mu nie wierzy!
- Powoli, spokojnie. – Doktor uciszył towarzystwo. – Chciałbym dowiedzieć się wszystkiego po kolei. A więc pan dozorca zgłosił, że zginał mu zegarek, tak?

- Tak. – Pani Maryna kiwnęła głową. – Trzy dni temu.

- Czy jest pani pewna, że dozorca nie zapodział gdzieś zegarka lub nie zapomniał, gdzie go odłożył?

- Wierzę panu Mikołajowi. Powiedział, że przeszukał wszystko, a zegarka ani śladu.

- Rozumiem. A na jakiej podstawie uznaliście, że to Staszek ukradł zegarek pana Mikołaja?

- Bo Zenek widział, jak Staszek wychodził z pokoju dozorczy. Zachowywał się przy tym dziwnie, jakby się bał, że go ktoś zobaczy.



- Czy tak było, Staszku?
- Tak.
- A możesz nam wyjaśnić, co robiłeś w pokoju pana dozorczy?
- Nie.
- Dlaczego?
- Tego też nie mogę powiedzieć. – Staszek spuścił głowę.
- No i widzi pan! Chłopak nie ma nic na swoją obronę. Jest winny.
- Winny! – krzyczeli chłopcy.
- Poczekajcie! Nie tak szybko z obwinianiem. Nie mamy dostatecznych dowodów – uspokoił ich Korczak.
- Moim zdaniem sprawa jest aż nazbyt oczywista – potrząsnęła głową pani Falska.
- Gdy człowiek dopuści się przestępstwa, nawet najgorszego, przysługuje mu obrońca i sprawa w sądzie. Dlaczego Staszek miałby być tego pozbawiony?
- Pan się chyba zagalopował. Jaki sąd? Przecież to dzieciak. Sprawę musimy załatwić tu, w schronisku.
- Jak najbardziej. Sąd odbędzie się tu. W wyniku tajnego głosowania chłopcy sami wybiorą sędziego. Pani będzie oskarżycielem, a ja obrońcą – powiedział doktor.
- Zaległa cisza. Wymowna cisza.
- Proszę dać temu chłopcu szansę. Spróbujmy... – poprosił.
- A więc dobrze. Ale na pana odpowiedzialność. – Pani Maryna przyglądała się doktorowi z uwagą.
- Jak najbardziej – uśmiechnął się pan Janusz i przystąpił do działania. W ciągu niespełna godziny chłopcy wybrali spośród siebie sędziego.

Świadek, czyli Zenek, zeznał, że widział, jak wieczorem, w przededniu zniknięcia zegarka, Staszek wychodził z pokoju dozorca. Zachowywał się przy tym tak, jakby się czegoś bał.

– Czy oskarżony zauważył świadka? – zapytał Korczak.

– Chyba mnie nie widział – odpowiedział Zenek.

– Nie widziałem. – Staszek spuścił głowę.

– A co świadek robił wieczorem pod pokojem dozorca? – Korczak spojrzał badawczo na Zenka.

– Eeee, nie mogę powiedzieć.

– Musisz wiedzieć, że od tego, co powiesz lub nie, zależy los Staszka. Jeśli jest cokolwiek, co wiesz, a co mogłoby wyjaśnić sytuację z zegarkiem, powinienes powiedzieć. Zrób to teraz. Potem może już być za późno.

– Eeee, bo ja... Bo ja coś wiem, coś usłyszałem... Ale wolałbym nikomu nie mówić. – Zenek aż spocił się z emocji.

– To sytuacja nadzwyczajna. – Korczak patrzył na chłopca bardzo poważnie. – Jesteśmy w sądzie. Tu trzeba mówić prawdę i tylko prawdę.

– Bo ja usłyszałem, jak Zbyszek z Kazikiem się namawiali. Nie podsłuchiwałem, jak babcię kocham, przysięgam! – Zenek uderzył się z całej siły w piersi. – Ale mówili tak głośno, że trochę usłyszałem.

– Co takiego mówili?

– Że jeśli Staszek nie odczepi się od Franula, to popamięta na całe życie. I mówili, że coś się stanie wieczorem w pokoju dozorca. I bardzo się z tego śmiali. Byłem ciekawy, o co chodzi, i dlatego tam poszedłem.

– Kto to jest Franul? – Brwi doktora uniosły się pytająco.

– To nasz najmłodszy wychowanek – powiedziała pani Maryna, która stała z boku, wyprostowana, z podniesioną głową. – Ma dopiero pięć lat.

– Czy mógłbym z nim porozmawiać na osobności?

– Proszę bardzo.

Korczak wszedł do pokoju wychowawców, do którego po chwili wsunął się mały, zasmakany chłopczyk.

– Czy ty jesteś Franul? – uśmiechnął się doktor.

– Tak na mnie wszyscy mówią – wyseplenił malec.

– Chciałbym, żebyś mi opowiedział o Staszku. Czy to twój kolega?

– Tak. Najlepsy. Broni mnie. – Chłopiec spojrzał poważnie.

– Broni cię? Przed kim?

– Przed chłopakami. Muszę im oddawać połowę mojego obiadu, kolacji i śniadania. Bo mówią, że mnie zabijają.

– A Staszek?

– On mnie broni. Nie pozwala im zabierać.

– Rozumiem. – Pan Janusz pokiwał głową. – Poproś, żeby Staszek przyszedł do mnie.

– Dobrze, proś pana. – Franul rozpromienił się w szczerbatym uśmiechu.

Po chwili do pokoju wszedł Staszek.

– Prosił pan, żebym przyszedł – powiedział i spojrzał na doktora.

– Tak. Bo chciałem, żebyś mi powiedział prawdę. Bronisz Franka, tak? Staszek spuścił głowę.

– Zbyszek i Kazik ci grozili?

Cisza.

– Co wydarzyło się w pokoju dozorczy? Ukradłeś ten zegarek?

Plecy Staszka zaczęły się trząść. Chłopiec szlochał.

– Bo ja już nie wiedziałem, co robić. Oni mu ciągle dokuczali. Zabierali mu wszystko. Jedzenie, czystą pościel – wyrzucił jednym tchem.

– Dlatego, że jest mniejszy, słabszy. Więc straszili go biciem i nie pozwalali się bawić. Było mi go żal. Bo ja w domu miałem brata w jego wieku. – Staszek rozpłakał się na dobre. – Chciałem ich jakoś powstrzymać. Powiedzieli, że jak zapłacę sto rubli, to dadzą mi spokój. Ale skąd miałem wziąć tyle pieniędzy? Powiedzieli mi, że zegarek dozorczy jest tyle wart. Pan Mikołaj i tak go nie nosił. Więc pomyślałem, że może by nawet nie zauważył...

– Ale Zenek zauważył... – zamyślił się Korczak.

– Tak. I teraz grozi mi wydalenie. A ja nie mam dokąd pójść. – Staszek cały drżał.

– Spokojnie, chłopcze. – Doktor pogłaskał go po głowie. – Działałeś w dobrej wierze. Są okoliczności łagodzące. Wszystko da się wyprostować. Oddasz zegarek dozorczy i sprawę wyjaśnimy.

– Ale ja go nie mam! Od razu dałem go im!

– No to czas, żeby ich teraz przesłuchać. – Oczy doktora pociemniały.

– Będą odpowiadali przed całym sądem.

Długo trwała rozmowa ze Zbyszkim i Kazikiem, którzy najpierw wszystkiego się wypierali, ale wreszcie przyznali się do winy.

– Tylko tchórze i najgorsi bandyci posługują się szantażem, wykorzystują mniejszych, straszą słabszych i żerują na ich bezradności. Oczekuję, aby sąd wydał sprawiedliwy wyrok w tej sprawie – podsumował Korczak.

Sąd w osobach sędziego Szymka, pani prokurator Maryny i obrońcy Korczaka zdecydował, że Staszek ma być uniewinniony, a Zbyszek i Kazik muszą przeprosić kolegów, odpracować i za zarobione pieniądze odkupić zegarek panu Mikołajowi.

– Nie miałam pojęcia, że starsi chłopcy szantażują tego małego Franula – mówiła z bólem pani Maryna. – Dzięki panu sprawa wyszła na jaw. A ja ukarałam niewinnego...

– Niechże się pani nie obwinia. – Doktor uściśnął jej ręce. – Wiem, jak trudno wszystko samemu ogarnąć. Ja mam pannę Stefę, a pani tu wojuje, jak potrafi najlepiej. Jeśliby się pani zgodziła, podpowiedziałbym kilka sprawdzonych sposobów.

– Bardzo proszę – uśmiechnęła się pani Maryna, a Korczak opowiedział jej o dyżurach, gazetce, tablicy, liście łez, liście podziękowań, przeprosin, zażaleń i całym systemie działania Domu Sierot.

—>>—>> KONIEC I NOWY POZĄTEK <<—<—<—

Wojna trwała i trwała. Korczak nie wracał z frontu, a panna Stefa walczyła o każdy dzień w Domu Sierot na ulicy Krochmalnej. Towarzystwo „Pomoc dla Sierot” dawało pieniądze na utrzymanie dzieci. Ale wciąż wszystkiego brakowało. Wychowawczynie więc raz w tygodniu wczesnym rankiem wyruszała z workiem na plecach do podwarszawskich wsi i wracała wieczorem z mąką, ziemniakami i kaszą. Mimo jej usilnych starań i najlepszej opieki warunki były bardzo trudne. Wychowankowie chorowali na tyfus. Jeden po drugim trafiali do izolatki z wysoką gorączką. Wkrótce brakowało już łóżek. Gdy chore dziecko było w stanie krytycznym, praczka,

pani Wosia, zawijała je w koc, zawiązywała jego końce pod brodą i niosła na plecach do szpitala. Pani Wosia była niezwykłą osobą. Doktor Korczak napisał nawet o niej – podkreślał jej wyjątkowe zasługi dla Domu Sierot. Była praczką, a w tamtych czasach zawód praczki był najbardziej wzgardzany. Żydówki za nic nie chciały być praczkami, więc Polka, pani Wosia, zgodziła się na tę pracę. Prała dzieciom bieliznę i ubrania, wysłuchiwała ich zwierzeń, wychodziła przed bramę, kiedy wracały ze szkoły, i pilnowała, żeby ich nikt nie zaczepiał. Wszyscy ją bardzo lubili. W tych wojennych czasach była wielką pomocą dla panny Stefy, która czuwała nad wszystkim. Wstawała pierwsza i kładła się spać ostatnia. Gdy wszyscy spali, ona jak cień przesuwiała się między łózkami dzieci, poprawiając im koce i poduszki, głaszcząc po głowach i sprawdzając oddechy.

- Daj nam, Boże, więcej chleba, kartofli i węgla – modliły się dzieci.
- Bo w to, że wojna się skończy, to ja już nie wierzę... – dodawała cicho panna Stefa.

A jednak wojna się skończyła. Polska po stu dwudziestu trzech latach niewoli odzyskała niepodległość! Ten odrodzony kraj był biedny, zdziesiątkowany przez nędzę i choroby, wyczerpany wojnami. Pomimo to wszyscy byli pełni nadziei i entuzjazmu. Polscy żołnierze, walczący po stronie Austrii, Niemiec czy Rosji – nieraz przeciwko sobie – nareszcie wracali po wojnie do wspólnej ojczyzny.

Któregoś dnia w Domu przy ulicy Krochmalnej nieoczekiwanie pojawił się szczupły, łysiejący mężczyzna z rudą bródką i w drucianych okularach. Wypatrzyły go dzieci, które bawiły się na podwórku.

– Doktor wrócił!

- Pandoktor! Pandoktor! Hura! – Rzuciły się ściskać go i tarmosić, wspinać mu się na plecy i dotykać z czułością jego łysiny, szarpać za bródkę i głaskać po policzkach.
 - Nareszcie. Brakowało tu nam pana... – Panna Stefa nie kryła wzruszenia.
 - I ja się cieszę. – Korczak przytulał każde dziecko po kolei i całował wszystkie główki. – I ja się za wami stęskniłem. Dobrze być w domu! Dom był już jednak inny. Przede wszystkim panowały głód i zimno.
 - Zima dopiero się zaczyna. Musimy zabezpieczyć dzieci – postanowił Korczak. Przystąpił do działania. W związku górników poprosił o trochę węgla. Jakież było jego zdziwienie, gdy przysłali cały wagon!
 - Tylko trzeba wyładować węgiel jednego dnia – zaznaczyli.
 - Jak trzeba, to trzeba – uśmiechnął się doktor i pierwszy zabrał się do pracy. Przenosił węgiel w wiadrach, a za nim pani Stefa, stróż i wszystkie dzieci. W ruch poszły miski i naczynia. Nawet mały Kocyk pomagał, chociaż miał dopiero pięć lat. Nosił węgiel w nocniku.
 - Ja bym mogłem i sto furów wyładować – chwalił się i pokazywał umorusane rączki.
- Wieczorem, po kąpieli – nareszcie w ciepłej wodzie – pan doktor zebrał wszystkich w jadalni.
- Jak wszyscy wiemy, na naszej tablicy każdy może zapisywać swoje skargi, pretensje i prośby. Jest też lista łez, na którą wpisujecie się, gdy płaczecie, i lista przeprosin. Pomyślałem teraz, że warto powiesić też listę podziękowań. Ja pierwszy wpisuję na nią was wszystkich. Cały dom i każdego z osobna! Dziękuję za pomoc przy rozładowaniu węgla!
 - Hura!!! – krzyczały dzieci, garnąc się do doktora.

» MAŁY PRZEGLĄD «

– Nasz Pandoktor jest redaktorem – tłumaczyła nowo przyjętemu koledze jego opiekunka, Ida.

– Co to znaczy?

– No, że pisze do gazetki. Tej naszej, którą wydajemy w Domu Sierot, i tej, którą mają dzieci w Naszym Domu u pani Maryny. Ja zresztą też jestem redaktorką. Co tydzień piszę jeden artykuł.

– Uuuu! – Józek spojrzał na Idę z uznaniem.

– Ty też możesz!

– Ja? – stropił się chłopiec. – A niby jak?

– Wystarczy, że napiszesz o czymś i wrzucisz to do skrzynki.

– O! – Józek już widział swoje imię w prawdziwej gazecie.

Kilka dni później Korczak zaskoczył wszystkie dzieci.

– Zakładam nowe pismo – powiedział na zebraniu w jadalni. – Tygodnik tylko dla dzieci redagowany tak, żeby je bronić. Redaktorów będzie trzech – jeden stary, łysy, w okularach; drugi młody dla chłopców i jedna dziewczynka – dla dziewczynek. Specjalnie tak wymyśliłem redakcję, żeby nikt się nie wstydził i każdy mówił szczerze i głośno, jakie ma zmartwienia i troski. Stali współpracownicy będą mieli własne biurka albo szuflady.

Na sali powstał szmer zadowolenia.

– Temu, kto się wstydzi, że brzydko pisze albo robi błędy – ciągnął Korczak – redaktor powie: nie szkodzi. W korekcie się poprawi. A jeżeli ktoś zupełnie nie zechce nic napisać, a chciałby o czymś opowiedzieć, będzie mógł podyktować. Wszystkie wiadomości dzieci będą mogły podawać do redakcji telefonicznie, ustnie, przesyłać

pocztą, dyktować lub pisać. I jeszcze coś. Pracownicy redakcji, nawet ci najmłodsi, za każdy tekst otrzymają wynagrodzenie.

Dzieci zaczęły klaskać.

– A kiedy to wszystko się zacznie? – wyrwał się Józek.

– Już, zaraz! – roześmiał się Korczak. – W przyszłym tygodniu, w czwartek, zapraszam wszystkich chętnych na pierwsze zebranie nowej redakcji. Gazeta będzie nosiła tytuł „Mały Przegląd”.

Kilka dni później w piśmie dla dorosłych „Nasz Przegląd” ukazał się artykuł doktora Korczaka, w którym zaprosił on wszystkie chętne dzieci do pisania listów i artykułów. Chyba nawet sam redaktor naczelny nie spodziewał się takiego odzewu. Zgłosiły się dzieci z całej Warszawy i okolic! Wiele z nich już od razu przyniosło albo nadesłało swoje artykuły. Redakcja „Małego Przeglądu” mieściła się w dwóch pokojach redakcji „Naszego Przeglądu”. Tam też odbyła się pierwsza narada.

– Witam wszystkich – doktor rozpoczął zebranie – na pierwszym spotkaniu redakcyjnym nowego pisma dla dzieci. Do tej pory dla dzieci zawsze pisali dorośli. Uznali pewnie, że najlepiej wiedzą, co nadaje się dla małych czytelników. Nasze pismo będzie inne: w całości pisane i redagowane przez dzieci. Kilkoro dorosłych będzie im tylko pomagać. Zatem zaczynamy.

Następnie zabrał się do prezentowania nadesłanych artykułów.

– Pierwszy tekst, zatytułowany Kiwa mi się ząb, nadesłał Boluś. Chłopiec opisuje w nim swoje problemy z zębem mlecznym, który nie chce wypaść. Proponuję, żebyśmy zamieścili go w dziale „Co u nas słychać?”.

– Panie doktorze, a nie uważa pan, że to jest trochę dziwne? – odezwał się jeden ze starszych chłopaków siedzących z tyłu. – „Nasz

Przegląd” to poważne pismo. Są w nim artykuły o wojnach, katastrofach, wielkich sprawach. „Mały Przegląd” nie powinien chyba zajmować się głupotami... Co to kogo obchodzi, że jakiemuś Bolusiowi kiwa się jakiś tam ząb?

– I tu, chłopcze, nie masz racji. – Korczak mówił z powagą. – Nie ma rzeczy nieważnych, skoro nas dotyczą. Dlaczego informacja o katastrofie ma być ważniejsza od zęba Bolusia? Zamieszczenie tego tekstu w „Małym Przeglądzie” ma wielkie znaczenie. Boluś będzie wiedział, że nie jest sam ze swoim zmartwieniem. Że istnieje gazeta, która go rozumie i wspiera. To pismo jest właśnie po to, żeby każdemu dziecku okazywać szacunek i zrozumienie. Kto głosuje za przyjęciem artykułu Bolusia do druku?

Wszyscy podnieśli ręce.

– Kolejny tekst przysłał do nas dziewięcioletni Roman – kontynuował Korczak. – Pisze, że wuj obiecał mu rower za postępy w nauce. Postępy, owszem, są, ale roweru nie widać. Proponuję, żeby zamieścić ten artykuł zaraz na pierwszej stronie z tytułem Wuju, zbieraj pieniądze! Kto jest za?

Wszyscy podnieśli ręce.

– Następny artykuł – ciągnął doktor. – Podpisał się pod nim siedmioletni Nastuś. Pisze, że mama każe mu chodzić do szkoły w fartuszkach, żeby nie pobrudzić ubrania, a wszyscy koledzy śmieją się z niego i przezywają „dzidziuś”. Moim zdaniem koniecznie trzeba zamieścić ten artykuł w dziale „Dom” i uświadomić mamie, że Nastuś naprawdę cierpi. Kto jest za?

Wszyscy podnieśli ręce.



NASZ PRZEGŁĄD

~ I L U S T R O W A N Y ~

DZIESIĘCIOLECIE „MAŁEGO PRZEGŁĄDU”

„MAŁY PRZEGŁĄD” BYŁ DODATKIEM DO „NASZEGO PRZEGŁĄDU”



Pismo dzieci i młodzieży.

1. Dwaj współpracownicy, najmłodszy i najstarszy.
2. Segregacja poczty redakcyjnej.
3. Sekretarz przy pracy.
4. Z górskich obrazów turystycznych „Małego Przeglądu”.
5. Kapel i gimnastyka.
- 6, 7. Druga słońca kajakowa „Małego Przeglądu”.
- 8, 9, 10, 11. Na szlaku wodnym.

SEKRET

Odtąd zebrania redakcji „Małego Przeglądu” odbywały się w każdy czwartek po południu. Korczak omawiał najpierw sprawy redakcyjne, potem rozmawiał z każdym po trochu, opowiadał bajki i kawały, a czasem urządzał nawet zabawy i tańce. Tradycją stało się, że po zakończeniu zebrania wszyscy jego uczestnicy pod wodzą doktora szli na parówki do pobliskiej wędliniarni. Nikogo więc nie dziwiło, że z tygodnia na tydzień rosła liczba stałych i przypadkowych korespondentów. Wszyscy cieszyli się, że tworzą razem pismo. Lubili się spotykać, powołali więc Kółka Przyjaźni, Kółko Zabaw i Pomocy, Klub Powieściopisarzy i Pracownię Wynalazców. Doktor Korczak co jakiś czas wynajmował w mieście wielką salę i zwoływał konferencje redakcyjne, w których brało udział nawet po kilkaset osób. Głównie oczywiście – dzieci. Do redakcji przychodziły też setki listów. Korczak czytał wszystkie z wielką uwagą, segregował je i opatrywał komentarzami. Korespondent, który wysłał do „Małego Przeglądu” sto listów, otrzymywał pamiątkową pocztówkę z kwiatami, a po roku stałej współpracy – pocztówkę z owocami. Cztery razy w roku w największych warszawskich kinach odbywały się darmowe seanse dla właścicieli pamiątkowych pocztówek. Po trzech latach działania „Małego Przeglądu” doktor Korczak podsumował:

Stałych korespondentów mamy 3200. Do redakcji „Małego Przeglądu” przychodzi rocznie około dziesięciu tysięcy listów od dzieci.

NIE
WOLNO
ZOSTAWIĆ
ŚWIATA TAKIM,
JAKI JEST.
J.K.

PRZEPROWADZKA

Drugiego października 1940 roku z rozkazu okupanta w Warszawie powstała zamknięta dzielnica – getto żydowskie. W środku miasta wyrosły nagle mury. Obowiązek przeniesienia się tam dotyczył wszystkich żydowskich mieszkańców Warszawy.

- Czy my też będziemy musieli się przeprowadzić? – pytały dzieci.
- Nie, nie sądzę, żeby Niemcy chcieli nas przesiedlać – uspokajał doktor. Sam też jeszcze się łudził. – Przecież my im w żaden sposób nie zagrażamy!

A jednak Dom Sierot również otrzymał nakaz przejścia do getta. Pani Stefa zaczęła więc pakować dzieci. W ostatniej chwili doktor poprosił przyjaciół o ofiarowanie reprodukcji obrazów i sadzonek pelargonii.

– Właściwie jesteśmy już gotowi – oznajmiła pani Stefa. – Wszystkie potrzebne rzeczy spakowane.

– Chcą przesiedlenia, będą je mieli. Ze wszystkimi fanfarami, że tak powiem. Zrobimy korowód. Jak w teatrze. Dzieci ze śpiewem będą niosły lampy, klatki z ptaszkami, obrazy, kolorowe pelargonie i nocniki – krzyczał.

W końcu z ulicy Krochmalnej wyjechały wozy załadowane rzeczami z Domu Sierot i wóz z kartoflami. Dzieci, ustawione w pary, szły pod wodzą Korczaka, pani Stefy i kilkorga wychowawców. Śpiewały piosenkę *Choć burza huczy wkoło nas*. Dozorca, Piotr Zalewski, z żoną szedł razem z nimi.

– Pan przecież nie musi – mówił Korczak. – Pan jest Polakiem.

– Jak to „nie muszę”?! – zdenerwował się Zalewski. – Dwadzieścia lat pracuję z panem i teraz nagle „nie muszę”?! Nie ma mowy. Zdecydowaliśmy z żoną iść z wami. Tam też będziemy potrzebni.

Szli więc wszyscy w stronę getta, w tłoku i zamieszaniu. Posuwali się wolno. Korczak pilnował, żeby nikt się nie zgubił ani nic nie zginęło.

– Nasz wóz z kartoflami! – krzyknął nagle. – Nie ma go! Idę o niego pytać, niech pani pilnuje dzieci i reszty dobytku – rzucił Stefie przez ramię i pobiegł do niemieckich żandarmów.

– Niech pan zostawi, na litość boską, niech pan tam nie idzie! – krzyknęła Stefa. Ale doktor już był daleko. Podszedł do niemieckich żołnierzy, którzy stali z boku i przyglądali się idącym ludziom.

– Zginał wóz z kartoflami dla moich dzieci – powiedział twardo po niemiecku. – Żądam zwrotu. Natychmiast.

Niemcy się roześmiali.

– A kim pan jest?

– Janusz Korczak, a właściwie Henryk Goldszmit. Jestem dyrektorem Domu Sierot.

– To polski Dom Sierot? – zapytał jeden z żandarmów, patrząc na mundur doktora.

– Żydowski.

– To gdzie pana opaska?

– Nie noszę – odpowiedział Korczak.

– Jakim prawem?! – Niemiec wrzasnął i uderzył doktora w twarz.

– Są prawa ludzkie i boskie. Ludzkie są przemijające, więc słucham tylko boskich. Noszenie opasek wymyślili ludzie, nie Bóg.

– Jest pan aresztowany! – wrzasnął Niemiec i zaczął szarpać doktora. – Na Pawiaku będzie pan miał swoje boskie prawa.

Tymczasem pani Stefa posuwała się z dziećmi w stronę getta. Przed bramą Niemcy sprawdzali dokumenty.

– Polacy? – zapytali państwa Zalewskich.

– Tak, ale my chcemy razem z dziećmi i doktorem przeprowadzić się do getta – tłumaczył dozorca. – My już dwadzieścia lat razem... – nie zdążył dokończyć.

Pobity i nieprzytomny leżał pod bramą getta, gdy dzieci, wraz z wychowawcami i panią Stefą, wchodziły do środka.



TRUDNA
TO RZECZ -
URODZIĆ SIĘ
I NAUCZYĆ SIĘ ŻYĆ
J.K.

»————/////**PO DRUGIEJ STRONIE OKNA**//————«

- Dzieje się coś niedobrego – powiedziała pani Stefa, wyglądając przez okno. – Jakieś wielkie poruszenie na ulicy...
- Niemcy likwidują getto, wywożą ludzi! – do domu wpadł zdenerwowany Heniek.

– Obiecali, że sierocińców nie ruszą – uspokajał Korczak. – Nic nam nie grozi.

Kolejne dni przynosiły jednak niepokojące wiadomości. Niemcy wywozili z getta po kilka tysięcy ludzi dziennie.

– Wiozą ich na wschód, do pracy – mówił Korczak. – W najgorszym razie, gdy i nam przyjedzie pojechać, jakoś będziemy się trzymać razem. Gorszego piekła niż tu tam na pewno nie będzie.

Ale do getta dochodziły też inne wieści. Niektórzy mówili, że to pociągi donikąd... Nikt jednak nie wiedział, co tak naprawdę się dzieje z tysiącami ludzi, którzy codziennie wsiadali stłoczeni do towarowych wagonów.

Ranek, w środę 5 sierpnia 1942 roku, zaczął się zwyczajnie. Zapowiadał się upalny dzień. Dzieci wstały, opłukały się w zimnej wodzie i zasiadły do skromnego śniadania w jadalni. Podano kawę zbożową i ciemny chleb. Nagle za oknem rozległy się krzyki i gwizdki żandarmów.

– Wszyscy Żydzi wyjść!

Korczak wstał zza stołu i poszedł zobaczyć, co się dzieje. Po chwili wrócił i poprosił dzieci, żeby zostawiły jedzenie i ubrały się do wyjścia. Pani Stefa spojrzała na niego, a potem bez słowa zajęła się przygotowaniami do drogi. Zapakowała niedojedzony chleb i wodę, kazała dzieciom założyć najlepsze ubrania i ustawiła je parami. Korczak wyjął sztandar Domu Sierot. Chwycił najmłodsze dzieci za ręce i poszedł z nimi pierwszy. Pani Stefa zamykała pochód, idąc z najstarszymi. Trzeba było przejść wiele ulic, aby dojść wreszcie na Stawki – czyli na Umschlagplatz. Tam tysiące ludzi czekały

na otwarcie pociągu. Po kilku godzinach stania w upalnym słońcu, krzykach, płaczach, rozstaniach i selekcjach, nagle tłum zafalował. Dzieci ustawiły się w szeregu i prowadzone przez doktora Korczaka włączyły się do pochodu idącego w stronę wagonów.

– Melduję posłusznie, że sierociniec Korczaka został załadowany – złożył raport swojemu przełożonemu jeden z funkcjonariuszy służby porządkowej.

Drzwi wagonów zamknięto i zaplombowano. W środku było ciasno i duszno. Korczak kolejno brał dzieci na ręce i przysuwał je do niewielkiego, zakratowanego okna, by zaczerpnęły powietrza.

Pociąg ruszył.

– Pamiętacie Amala, który czekał na list od króla? – zapytał doktor. Dzieci skinęły głowami.

– Ten list miał go uwolnić. My też czekamy na list. A może właśnie go otrzymaliśmy?

Po drugiej stronie okna jaśniało bezchmurne sierpniowe niebo.